

Głównym tematem owej polityki jest rurowanie wartości kulturalnej kraju przez jego skolonizowanie na gruncie sztuki, przede wszystkim literatury. Kolonializm, a dalej imperializm dotyczy wielu aspektów, także feminizmu, Trzeciego Świata, mniejszości seksualnych, romantycznego Orientu, z przewijającym się kontekstem literackiego ślubu Ameryki z Rosją, którego dzieckiem jest „wujaszek Joe”, czyli Brodski.

„A teraz po naszej stronie ściany wkraczają rosyjskie wojska, żeby na oczach całego świata nas zabijać – tak samo jak robili to sto lat temu” [6]. Wiek temu Ukraińcy stracili tożsamość. Teraz, czyli w 2014 roku, za sprawą inwazji Ukrainie przywrócony zostaje głos, którym coraz pewniej i głośniej kraj domaga się uznania równych praw państwowych, narodowych i politycznych. Powyższy cytat pochodzi z eseju stanowiącego swojego rodzaju prolog do kolejnych, w których o przypomnienie tożsamości wołają postacie skrywane w kolonialnym niebycie. Kim byłyby w kraju położonym w całości innej części świata? Być może wyjaśnia to nieco Zabużko, gdy zwraca się do perskiego czytelnika, przypominając swoją „Bajkę o kalinowej fujarce”. Sama opowieść o siostróbójkach (skojarzenia, rzecz jasna, z „Balladyną”), królewski przywilej i prawo człowieka do własnej historii, perski zły duch Ahriman zdają się sprowadzać uwagę czytelnika na folklor ukraiński, perskie mity i w końcu Freuda, lecz przecież nie sposób zapomnieć o „siostrzanym sąsiedztwie” Rosji i Ukrainy oraz zła, które rodzi się w umyśle i dłoniach jednej z sióstr. Skutki nikczemnej zbrodni na Ukrainie Zabużko opisuje w kolejnych tekstach...

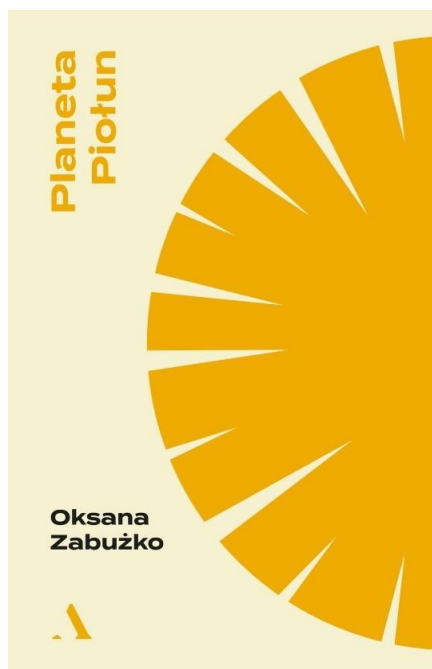
Pierwszy dotyczy Kateryny Biłokur, która wraz z rodzicami wytrzymała to, co w 1929 roku zapoczątkował Stalin, wojnę na wyniszczenie ukraińskiej wsi, Wielki Głód, lata terroru, kołchoz. Oksana Zabużko opowiada jej losy, poniekąd rekonstruując życie codzienne lat przed- i powojennych, a tym samym i historię ukraińskiej wsi dwudziestego wieku z przejmującymi szczegółami o nakazie milczenia, śmierci, głodzie i nędzy, aż po największy dramat wystawianej w Paryżu wiejskiej artystki. Drugi jest o Leonidzie Pluszczu, autorze „W karnawale historii”, neomarksista i dysydencie Rosji epoki Chruszczowa, czasów ludzkiej twarzy socjalizmu i cienia Zachodu obłąkającego poczynania ZSRR, gdy w psychuszkach wychowywano „posłuszne dziecko” – człowieka, który nie zadaje pytań.

W ostatnim eseju z „Planety Piołun” autorka wraca do imperializmu i uprawomocnienia terroru. Pytanie, czy choć na chwilę pisarka porzuciła te kwestie? W każdym razie, gdy w „Długim pożegnaniu ze strachem”, opatrzonym podtytułem „«Badania terenowe nad ukraińskim seksem» dwadzieścia lat później” porównuje literaturę rosyjską i francuską, tużdzie ukraińskie i francuskie – tak przecież różne – oblicza kolonializm, rozważa chyba najbardziej okrutne skutki poddaństwa, zależności, podporządkowania, czyli niewolnictwo. Stąd jej wnioskowanie niestety nieubłagane musi dotknąć najbardziej intymnej sfery, czyli seksualności, a dalej fantazji erotycznych

charakterystycznych dla poszczególnych rodów. I mimo, że w obszernym przecięciu eseju zostają one ukryte pośród innych, przeróżnych refleksji, dywagacji, dygresji i skojarzeń, czytelnik pozostaje sam z obrazami ostatnich miesięcy, tygodni i dni, które pozostają nieporównywalnymi okrucieństwami w naszym kręgu kulturowym dwudziestego pierwszego wieku.

Dziesięć esejów napisanych przez Oksanę Zabużko przed wybuchem wojny w Ukrainie to ostrzeżenie przed zalegalizowaniem imperializmu i kolonializmu, z których Europa zdała się wyleczyć już dawno, a obecnie stać ją na to, żeby w literaturze dokonać szczerego rozrachunku. Przykładów pisarka podaje w każdym z tekstów mnóstwo. Zarazem dopomina się od Europy, Zachodu, Stanów Zjednoczonych o rzetelność i otwartość opowiadania oraz pisanie na temat stuletnich tragicznych dla Ukrainy skutków jej relacji z zaborczym sąsiadem. Oksana Zabużko nie zdążyła. Czytelnik musi sam sobie odpowiedzieć, czy świat zdążył z wiarygodnością.

Jerzy Lengauer



[1] Oksana Zabużko, „Planeta Piołun”, w: Oksana Zabużko, „Planeta Piołun”, przeł. Katarzyna Kotyńska, Joanna Majewska, Anna Łazar, Agora SA, 2022, s. 31.

[2] Oksana Zabużko, „Do polskiego czytelnika”, w: tamże, s. 9.

[3] Op. cit., s. 13.

[4] Oksana Zabużko, „Tryptyk białoruski wokół przykładu «Czarnobylskiej modlitwy» Swietłany Aleksijewicz”, w: tamże, s. 130.

[5] Oksana Zabużko, „My, deportowani: Koda”, w: tamże, s. 136.

[6] Oksana Zabużko, „Ukraina – własnym głosem”, w: tamże, s. 219.



Osieroceni

Nasza ulica posmutniała. Już nie jest tą beztroską, roześmianą od krawężnika do krawężnika. Choć świeci słońce, tutaj mrocznie. Choć ciepłko, wieje chłodem. Uciły roztrajkotane wróble i sikorki; nawet jaskółki na pięciolini elektrycznych drutów układają się w nutki smętnych piosenek.

Ulica nam wytrzeźwiała jak abstynent. Już się nie zatacza, nie faluje, nie traci poziomu. Stała się tak poważna, że aż niepoważna w swej nagłej, a niespodziewanej powadze, po pięćdziesięciu dwóch pięknych latach uniesień, podfruwać, fikołków, wzlotów.

Co się stało, że życie poszarzało? Umarł Józek, nasz Józik. Nasz własny. Który pił nasze zdrowie! I byliśmy zdrowsi! A pił nie z powodu nałogu, pretensji do świata, żalu do przemijania... Nic z tych rzeczy, pił „dla relaksu”, jak sam twierdził. Więc relaksowaliśmy się razem z nim, wśród win i gorzały, które spijał. Ale do domu zawsze trafiał, bo miał z górki. Czasem tylko na czworakach, kiedy nogi już same nie chciały.

No i po co się tłumaczył, cały zakrwawiony, ze zdartym nosem i policzkami, że „wypierdolił się na trzeźwo”. Przecież to było jasne jak wyskokowe, procentowe słońce, które sobą stałe wzniecał i rozpałał.

Dlatego nie dziw, że zapłakały przydrożne kamienie i otaczająca je trawa. Kamienie, które czasem bywały poduszka; trawa przykrótką kołderką, gdy rozgwieżdżone, czy czarne niebo tuliło do snu. I nawet wycięte drzewa, po których zostały nieogojące się rany w powietrzu, załkały szumem sprzed lat, z dziuplami bez wieiórek i gniazdami bez ptaków. Kulawe psy zaskomliły żałośnie, a ich jęk dobywał się spod ziemi. Koty sprzed lat tuliły nasz żal miękkością futerek.

Cały mały wszechświat smutno się dziwił: Józik nie żyje... A wydawało się, że będzie trwał wiecznie – od piwa do piwa, od pół litra do pół litra – bo wtopił się w nas jak mrówka w bursztyn, ale i śmierć w życie.

Kto nam zastąpi Józika? No kto? Nie znajdziesz takiego i już taki się nie urodzi. Stąd smutna nasza ulica. Domy ze załzawionymi oknami, wspomnieniami, wiszącymi jak pranie na sznurze, ociekające łzami. Tą ulicą chodziliśmy razem do szkoły. Tą niegdyś wesołą ulicą, co dziś pociemniała w żałobny kir. Z radości przepoczwarzoną w zadumę. W szarość. Za pierwsze ukradzione pięć złotych, jeszcze w przedszkolu, kupił czekoladowe cukierki, których smak do dzisiaj rozplywa się w ustach... Ech, szkoda gadać, szkoda biadać...

Ale Józek nie zostawił mnie samego.

– *Wypij moje zdrowie, wypij!* – szepnął zza światów.

Więc piję. Drugą półlitrowkę czystej. Umrzykowi się nie odmawia.

Nasza ulica znów jaśnieje, faluje, uśmiecha się od krawężnika do krawężnika... Szumi, szczeka, ćwierka, mruczy, rzy – jest szczęśliwa...

Juliusz Wątroba